Przyjaciel Ludu.

Rok drugi. No. 32. Leszno, dnia 6. Lutego 1836.

Zygmunt August. *)

Szukamy w królach prywatnych ludzi, znużeni opisem publicznych spraw, pragniemy w małém społeczeństwie tych ganić, którym czci publicznéj odmawiać nie śmiemy. W różnych epokach życia Augusta, szukajmy Augusta człowieka; szczęśliwszym był Zygmunt I. od syna swego Augusta: Elżbieta matka dawała nauczycieli. Herodot polski **) uczył, i choć wadę wieku widzimy, że jęk chłostanego syna, cieszył ojca Kazimierza, jak Orzechowski w mowie pogrzebowéj wyraża, osadzenie w Lublinie królewskiego syna, usuwało go od tłuszczy pochlebców, a Kontareni poseł Wenecki, chwali edukacyą, ***) któréj owoc przyniósł szczęście Polsce. Tu przeciwnie: lubieżna Bona kochała syna dla siebie, w jego słabości

*) Wyjęto z rozpraw Tadeusza Czackiego, umieszczonych w Pomnikach historycznych (już wyszły trzy poszyty) wydawanych staraniem Michała Wiszniewskiego Prof. Uniwersytetu Krak. autora wielce szacownego a mało u nas (w xięstwie) upowszechnionego dziełka: Metoda Bakona tłumaczenia natury, któreby każdy młodzieniec, dążący do wyższego ukształcenia czytać i zgłębiać powinien, a tak najłatwiéj się usposobi do filozoficznych badań.

**) Jan Długosz z Czarnocina, Herodotem jest nazwany, lecz nie zupełnie mi się podoba; bo Długosz jest szósty w porządku pisarzów polskich, nie ma tyle prawa, aby mu błędy wybaczano, jak Herodotowi. Wszelako niezmierną zajęty pracą, wiele pisał, często i piękne i użyteczne mieszając bajki.

***) Szczegóły bardzo ciekawe o polskim dworze za Kazimierza Jagiellończyka, są w opisaniu poselstwa wojażu, które Berger z innemi średniego wieku wojażami wydał.

upatrywała siłę, w jego rozumie swój upadek. Ośmielił się Orzechowski w dziele: De institutione regia, uczyć młodego króla, a pod chłostą będący chłopiec królem namaszczony, przyjął przestrogi. Dworu się chronił, Litwę uszczęśliwiał. Ożenił się z Elżbietą, córką Ferdynanda, jéj zgonu żałował. Chciał uczuć słodyczy miłości prywatnego człowieka, żeni się z Radziwiłłówną. Ojciec umiera, matka burzy przeciw niemu posły: Boratyński klęka, małżeństwo nazywa nieprawém, króla ożenienie mianuje sprawą ojczyzny. Wyrzekł August: „przysięgi ani narodowi ani żonie nie złamię, żony nieopuszczę.“ Umilkła Bona, August ledwo dwa lata był szczęśliwy. *) Umarła małżonka, król zwłoki konno do Wilna odprowadza, i uczy przykładem, że i na tronie szczerze kochać można. Katarzyny ostatniéj żony pojęcie bardziéj jak z nią rozejście się jest nam wiadome. W Królewcu wśród uroczystéj biesiady, ledwo śmierci, utratą życia Wiśniowieckiego pokojowca z rozerwanéj armaty uszedł, wspaniale występnéj omyłce puszkarza przebaczył. **) U dworu ojca czereda sług, rzucała niezgody między gasnącym a panować mającym królem: mścić się nigdy nie chciał. Matki szanować nie mógł, dawczynę życia szczerze szanował. Jak był dobrym krewnym, jak na łonie przyjaźni cnotliwe troski o los kraju, sławy i powodzenia Polski przed Radziwiłłem składał, jak nakoniec w małéj liczbie ludzi był przyjemnym i użytecznym, a w uczącém społeczeństwie sam siebie uczył, korrespondencya z Radziwiłłem, ułomek pism Rojzyusza, Rotunda i innych okazują. Nudził się na tronie, który nie był mu przyjemny. Pragnął Henryk, pragnęli inni kupować tron za jego życia; on frymarkiem gardził, od dziwacznéj lekkomyślności jednego, a od drugiego jarzma ocalał. Tak żył Zygmunt August. Posłuchajmy go jeszcze jak króla i człowieka, gdy czeka wybicia ostatniéj godziny. W testamencie nie tai swych zgryzót, rzuca przekleństwo na tych, którzyby zrywać chcieli Unią. Zapowiada im karę od Boga, złorzeczenie od ludzi. Rzeczpospolitę do formy rządu wzywa i o to zaklina. Dziedzicem swego majątku stanowi Polskę, i sam śmiertelności stając się ofiarą, nieśmiertelnym prawie swéj ojczyzny pragnie być dobroczyńcą; biblioteka wileńska szkole dana, w części rozkradziona, nosi cechę obszerności darów króla. Uczczony łzami, przeniósł się spoczywać do niebieskich sklepień. Mimo prośby umierającego, sług nie zapłacono; rzeczpospolita nie dała pieniędzy na ukończenie grobowca. Smutna przez niego wyrzeczona ziściła się wieszczba. My chlubiąc się sławą jego panowania, a kosztując przepowiedzianéj goryczy, odwilżamy naszemi łzami ten cyprys, który w obrządku pogrzebowym, okrywając Augusta zwłoki zdawał się okrywać i szczęście narodu.

Rycina na drzewie, na ów czas wcale nie zła, zapewne podług portretu króla wykonana, wyjęta z dzieła: Confessio catholicae fidei 1557 (przez Hozyusza biskupa Warmińskiego.)

*) Wiadomość o otruciu Barbary nie jest pewną, zdaje się że na raka umarła.

*) Gornickiego dzieje obszernie ten przypadek, z'ąd smutek xięcia Pruskiego, dawaną pociechę przez króla opisaną.

Pobyt Kapitana Ross w porcie Felix.

(Koniec.)

Wszyscy zaś mieli bardzo dobrą i ciepłą odzież, suknie ze skór renów lub jeleni: wierzchnie odzienie dubeltowe, okrywające całe ciało od brody aż do kolan: z tyłu wisiała kapa dla pokrycia głowy, od któréj spiczasty koniec aż do stóp prawie sięgał: rękawy zachodziły za palce, spodnie odzienie włosami do ciała, zwierzchnie zaś siercią zewnątrz obrócone. Na nogach mieli bóty, również siercią wewnątrz, a na bótach spodnie ze skóry jeleniéj i psów morskich dość szerokie. Tak grubo ubrani, podobni byli do niezgrabnych niedźwiedzi. W ręku oszczepy, służące oraz za laski do podpierania się z gałkami słoniowemi u góry, z przeciwnéj zaś strony ostrym końcem z rogu uzbrojone rękojeści kunsztownie wyrabiane i kością wykładane. Noże, które w ręku trzymali, zrobione były z kości lub rogów renów bez ostréj klingi. Porucznik Ross, który roku 1821 był towarzyszem Kapitan Parry w biegunowéj także wyprawie, nie znalazł pomiędzy nimi żadnego znajomego, ani też od nich był poznany: ten więc dowiedział się od nich, że przyszli z południowéj strony, i że wczoraj już okręt spostrzegłszy, postępowali za nim, że ich chaty są ku północy. Kapitan Ross nie spodziewając się wcale tych odwiedzin, nie miał nic z sobą, coby im mógł podarować; posłał więc zaraz do okrętu jednego z swych ludzi po 30 żelaznych obrączek: tymczasem Eskimowie oświadczyli, że mu towarzyszyć będą do okrętu. Przybywszy do owego wału ze śniegu około okrętu nie okazywali żadnego podziwienia, ponieważ sami zwykli podobnie się zabezpieczać od mrozu. Lecz ani okręt ani żelaztwo i inne sprzęty nie zrobiły na nich takiego wrażenia, jak się spodziewano; zkąd się przekonano, że to nie było dla nich nic nowego.

Tymczasem darowane im żelazo sprawiło powszechne ukontentowanie: oni nawzajem ofiarowali Anglikom swe oszczepy i noże, których jednak z wielkiém ich podziwieniem i radością nie przyjęto. Byli daleko lepiéj odziani, a nawet lepiéj wyglądali, jak Anglicy w obecném swém położeniu. Na tłustych policzkach z pod śniadéj cery, występował rumieniec zdrowy. Równie jak u innych pokoleń, ich rysy twarzy regularnie owalne, malowały dobroć serca, oczy ciemne; nos mały, włosy czarne, cera śniada: zdawali się być daleko porządniejsi niżeli inne ich pokolenia, włosy nawet mieli uczesane i krótko

obcięte. Szczególniéj zaś odzież była z pewnym nawet przepychem zrobiona: niektórzy mieli frandzle z żył zwierzęcych lub ozdoby z kości; ale ich sanki nieforemne. Trzech Eskimów wpuszczono do okrętu, gdzie naturalnie różnym sposobem swe okazywali podziwienie: ryciny, zwłaszcza ich ziomków wyobrażające, ubawiły ich bardzo, zwierciadło najbardziéj ich zajmowało, gdzie całą swą postawę ujrzeć mogli. Równie bawiły ich lampy i lichtarze; jednak nie okazywali chciwości posiadania tych rzeczy, a co im dawano, przyjmowali z wdzięcznością. Tylko potrawy, po Angielsku sporządzone, wcale im niesmakowały: nakoniec dano im także oliwy: tę wypili z wielkim appetytem. Wnet coraz więcéj Eskimów zaczęło się cisnąć do kajuty. Muzyka na skrzypcach nadzwyczajnie ich bawiła; pobrawszy się za ręce z majtkami, zaczęli tańczyć i skakać wesoło. Przy rozstaniu przyrzekli nazajutrz powrócić, i zaprowadzić Anglików do swych mieszkań.

Nazajutrz, lubo mróz był tęgi (30 stopni R.), przyszli jednak, prowadząc z sobą 20 chłopców. Naczelnik ich szedł naprzód na powitanie Anglików, wznosząc ręce do góry, aby pokazać, że nie ma broni! Wkrótce ujrzeliśmy wioskę. Składała cię ona z 12 chat ze śniegu, blisko zatoki, nad brzegiem zbudowanych. Miały postać przewróconéj miednicy lub kuszki dla pszczół. Przed każdą chatą był wał z wązkim krętym przekopem, prowadzącym do wnijścia, gdzie się znajdowały żony, dziewczęta i małe dzieci, pomiędzy które Kapitan Ross podzielił szklanne paciorki i tém ich ośmielił.

Główny gmach, jeżeli chata jednę tylko mieściła rodzinę, składał się z okrągłego sklepienia, 10 stóp średnicy. Dla dwóch rodzin były chaty owalne 15 stóp długie, a 10 szerokie. Na przeciw wniścia ławka ze śniegu, zajmująca trzecią część szerokości, półtrzeciéj stopy wysoka, a skórami zwierzęcemi pokryta: jest to wspólne łoże: w końcu téj ławy siedzi gospodyni domu, naprzeciw lampy, która, jak u wszystkich mieszkańców biegunowych, z mchu i oliwy składała się, i dosyć światła i ciepła wydawała. Nad lampą stało naczynie z mięsem renów i psów morskich, czego, równie jak tranu, mieli poddostatkiem. Tymczasem wszystko, odzież, sprzęty i żywność, leżało w największym nieładzie porozrzucane.

Śnieg, z którego się te chaty składały, nabywa, jak wiadomo, przez nadzwyczajny i tęgi mróz, takiéj twardości, że podobnie jak głaz rozbijać i obrabiać go można, a potem polawszy wodą, spajać: rozszerzone po chacie ciepło, nie narusza bynajmniéj trwałości budowy, bo co z wierzchu staje, to znowu w krótkim czasie mróz naprawuje. Szczupłe światło dzienne, wpada do chaty przez duży kawał owalny czystego lodu, umieszczonego w połudnowéj stronie chaty w połowie wysokości, i zastępuje miejsce okna. Wewnątrz owego wału, przed chatą, jest stajnia dla psów: zapasy żywności w śniegu zakopane. Z resztą chaty te nie dawno były zbudowane.

Kobiety nie były wprawdzie urodne, lecz zdrowe. Wszystkie trzynastoletnie zdawały się już być zamężne: ich odzienie nie było tak dobre, ani tak porządne, jak męzkie: włosy miały rozczochrane; wszystkie zaś były pomalowane po twarzy: ozdoby te składały się z prostych linii, nie z figur.

Tulluahiu przybył niedługo na okręt po swoje szczudło, i przyprowadził z sobą dwóch chłopców, żonę i matkę. Podczas gdy on w kajucie się bawił, jeden z majtków nakłonił staruszkę, aby sobie pozwoliła ostrzydz głowę i wyczesać. Tak się to spodobało, że owa młodsza kobieta żądała także, aby ją tak wystrojono, a potem wszystkie kobiety poddały się téj operacyi. Kapitan Ross żałował, że nie miał tyle grzebieni, aby je mógł pomiędzy te damy podzielić.

Poczém także owemu kalece szczudło przyprawiono: zaczął zaraz probować, chodzić i czuł się nadzwyczajnie szczęśliwym.

Dnia 20. Stycznia po kilku dniach ciemnych i śnieżnych, ujrzeliśmy w południe pierwszy raz na horyzoncie południowym, nie całe wprawdzie, lecz tylko okrawek słońca, późniéj połowę jego tarczy. Anglicy ucieszyli się bardzo; lecz na Eskimów nie zrobiło to żadnego wrażenia; ponieważ im długie ciemne noce do łowów daleko są pożądańsze, niżeli jasne dni, bo wtedy ostrożne psy morskie z trudnością schwytane być mogą. Już w pierwszych dniach Lutego przekonali się Anglicy, że Eskimowie, od których ustawiczne odbierali wizyty, nie ze wszystkiém tak sobie otwarcie i rzetelnie postępowali, jak z początku myślano. Udało im się zabić niedźwiedzia: przyrzekli Kapitanowi, że mu go przyniosą, ale nie dotrzymali słowa. Zginęły także, nie wiadomo jak, trzy tabakierki na okręcie, młotek i perspektywa. Podejrzenie padło na towarzysza Tuluahiu, który z Kapitanem, gdy ten lampę gasił sam się był w kajucie pozostał, a potem do swéj chaty wpuścić go nie chciał. Dnia 2. Lutego przybył znowu na okręt, i miał twarz z jednéj strony opuchłą. Ross rzekł do niego; to pochodzi ztąd, żeś ukradł perspektywę; a jeżeli jéj natychmiast nie oddasz, to ci i drugi policzek spuchnie. Trafił. Za kilka godzin przyniósł biedak nie tylko perspektywę, lecz nadto młotek. Tabakierki, rzekł, ma jedna kobieta, równie jak okulary, które dziecko na lodzie znalazło. Ten przesądny człowiek, który pomiędzy swemi uchodził sam za czarno-xiężnika, tak się przeląkł, że i harpunę i wędę oddać chciał, za które Ross od niego łuk był wymienił. Nazajutrz przyniesiono tabakierki. Kapitan kazał ogłosić, że jeżeli jeszcze choć najmniejsza rzecz zginie, to już nikogo nie wpuści na okręt. Co chwila przynosili oni różne drobnostki na powrót i oddawali, o których dawno już zapo-

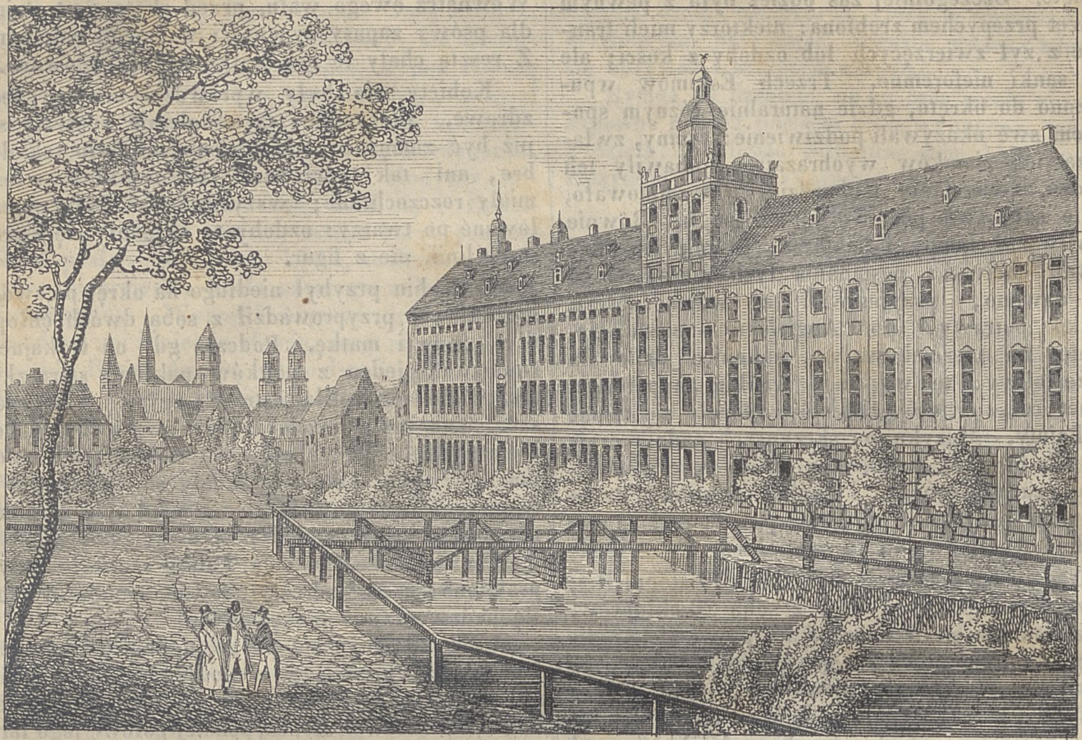

Uniwersytet Wrocławski.

mniano. Przyczyną téj skruchy były działa, których probowano przez kilka dni, aby się o tęgości głosu przekonać. Jeden z Eskimów był przytomny, i zapytał się, coby działa powiedziały?“ Odpowiedziano mu, że powydawały złodziejów, którzy pokradli rzeczy na okręcie.

Kapitan Ross jest tego zdania, że odwiedzający krainy biegunowe, powinniby się przyzwyczajać do potraw Eskimów; albowiem doświadczenie nauczyło, że obfite używanie oliwy i tłuszczu (tranu) w tych krajach najlepszem jest sposobem utrzymania czerstwości zdrowia. Wszelkie usiłowania zabezpieczenia się ciepłą odzieżą są nadaremne, gdy na wewnętrznéj zbywa sile, która ciepło w ciele wzbudza. Stósunek właśnie jest taki, jak gdybyśmy kawał lodu roztopić chcieli, obwinąwszy go w flanelę.

Dopiero dnia 17. Września udało się wypłynąć z téj zatoki, i rozwinąć znowu żagle. Trzeba być żeglarzem, mówi autor, aby uczuć, że okręt, unoszący nas po obszernych morza głębinach, posłuszny woli rąk naszych, nie jest martwą massą, ale niejako ożywioną i podległą człowiekowi istotą. Lecz równie żeglarz tylko pojmuje znowu to przykre uczucie, którém byliśmy przejęci, widząc prawie rok cały nasz statek bez ruchu, bez życia, jak martwy na jedném miejscu spoczywający. Łatwo sobie wyobrazić radość naszę, gdy ten okręt znowu ożył, i z długiego więzienia oswobodzony został. Niestety! radość nasza nie długo trwała: albowiem już na końcu Października musieliśmy szukać schronienia dla przezimowania.

Uniwersytet Wrocławski.

Z jaką radością witamy przyjaciela po długiém rozstaniu, z równém niemal ukontentowaniem zapatrujemy się na wierny wizerunek gmachu, w którym przepędziliśmy część życia naszego, a zwłaszcza najpiękniejsze lata młodości. Każdy prawie kącik budzi w nas jakieś wspomnienie, przywołując nam ubiegłą przeszłość.

Daliśmy już wprawdzie w Nr. 21 Przyjaciela Ludu z p. r., opis Uniwersytetu Wrocławskiego z ryciną, lecz ponieważ ostatnia, winą rysownika, zupełnie jest schybiona, i zamiast miłego uczucia, w tych, którzy w tym przybytku nauk nie jednę błogą przepędzili chwilę, niesmak wzbudza; przeto dla sprostowania tak ważnego uchybienia, dajemy dziś wierniejszy wizerunek tego wspaniałego gmachu, najlepszego świadka potężnéj niegdyś Jezuitów przewagi, od bramy Odrzańskiéj z mostu, zkąd po lewéj stronie widok na Tum Wrocławski, kościół na Piasku (Sandkirche) i kościół Śgo Krzyża, także już przez nas opisany. Ciekawych zaś czytelników o początku, i losach gmachu odsełamy do opisu w Numerze 21.

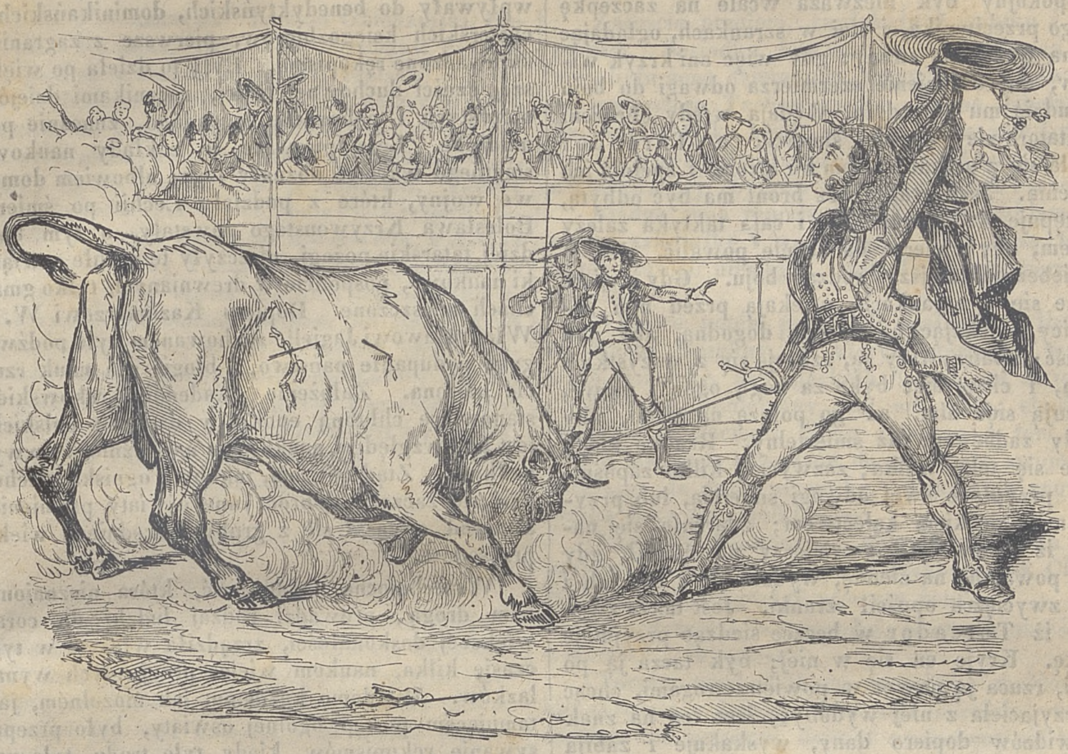

Walka z bykiem.

Okrzyczane walki ludzi z bykami w Hiszpanii, charakteryzują po części lud, mający w nich upodobanie, i nie mniéj zajmują, jak owe krwawe potyczki zapaśników z dzikiemi zwierzętami, na które starożytni Rzymianie podczas tryumfów i innych uroczystości uczęszczali. Lubo te widowiska okropne, dla ludu są dawane, aby go sobie zjednać i w dobrym utrzymywać humorze, myliłby się czytelnik nasz, gdyby mniemał, iż pomiędzy widzami samo się tylko pospólstwo znajduje: każdy stan ma tam niejako swoich reprezentantów, czułe nawet damy zgromadzają się licznie, i zajmują pierwsze miejsca.

Walki te odbywają się podług pewnych ustaw, i od wieków przyjętych zwyczajów; Toreadores, tak nazywają bohaterów spotykających się z bykami, stają do boju konno lub pieszo, z bronią lub też bez niéj. Na konną walkę wyjeżdża kilku razem uzbrojonych w dzidy, stają jeden za drugim w odległości 50 stóp od siebie, i czekają z upragnieniem przeciwnika. Rozżarty byk wypada ze stajni, gdzie go już rozdrażniono, staje przed pierwszym jeźdźcem, jakoby uradowany, iż znajduje przedmiot, na którym zemstę swą wywrzeć potrafi, ryje silną nogą ziemię, zaryknie straszliwie, a potém rzuca się gwałtownie na pierwszego nieprzyjaciela. Lecz w chwili, gdy już schyla głowę, aby rogi swoje w ciele przeciwnika utopić, zwraca jeździec konia swego w bok, spina go ostrogą, i rzuca z całéj mocy z boku dzidę, aby ją w karku zwierza utkwić. Byk rozjuszony, iż mu wróg uszedł, rzuca się rycząc z bólu okropnie na drugiego jeźdzca, lecz ten z równą zręcznością, jak pierwszy, postąpić z nim powinien, trzeci i czwarty rycerz te same robią zwroty, a wtedy zwierz znużony gniewem i bólem, i osłabiony upływem krwi z odebranych ran, nurza się w piasku, i umiera przerażając okropnym głosem swym widzów. Inny wcale obrót bierze walka, jeśli pierwszy jeździec gwałtownego napadu byka ujść nie zdoła: wtedy powala zwierz konia na ziemię, a zrzucony szermierz, z bronią w ręku, stawa do walki, aby zmazać hańbę, i pomścić się śmierci rumaka. Spektatorowie uważają pilnie na każde poruszenie potykających się, i jako sędziowie walki, głosem i oklaskami, dają poznać zadowolnienie swoje.

Jeśli walka pieszo się odbywa, występuje wtedy jeden tylko szermierz w szranki, w jednéj ręce z szpadą, w drugiéj trzyma do kija przymocowaną małą, czerwoną chorągiewkę. Wypuszczony zwierz rzuca się z wściekłością w tę stronę, z któréj widzi migającą się czerwoną chustę, zręczny nieprzyjaciel uchodzi drażniąc go coraz bardziéj, i okazuje tém więcéj odwagi, im dłużéj go zwodzi i drażni, niekiedy nawet, gdy byk schyla głowę, aby raz śmiertelny zadać, stawia jednę nogę pomiędzy rogi, drugą na karku, i przebiega mu po grzbiecie na przeciwną stronę; co, jeśli mu się po kilka razy uskutecznić uda, odbiera wtedy głośne oklaski widzów, i na spełnienie tryumfu, topi wtedy szpadę aż po rękojeść w piersiach zwierza. Często się zdarza

iż spokojny byk niezważa wcale na zaczepkę swego przeciwnika, i stoi w szrankach, oglądając się na wszystkie strony: gdy więc ani krzyk widzów, ani draźnienie szermierza odwagi do boju wzbudzić mu nie zdoła, wydają wtedy obrażeni spektatorowie wyrok śmierci, a Toreador schyla się z uszanowaniem ku lożom, i spełnia ich życzenia. Jeśli walka bez broni ma być odbytą, występuje 12 szermierzy, i cała taktyka zależy na tém, aby zwierza na ziemię powalić. Jest to najniebezpieczniejszy rodzaj boju. Gdy zwierz ukaże się w szrankach, uciekają przed nim zapaśnicy, czekając na chwilę dogodną, aby nań napaść; upatrzywszy ją, rzucają się z wszystkich stron, i chwytając byka za nogi, ogon i głowę, mocują się z nim, aż go położą na ziemi, aby wtedy zadać mu raz śmiertelny. Rzadko kiedy udaje się taka walka; zazwyczaj kilku zapaśników przypłaca swéj odwagi śmiercią, lub przynajmniéj ciężkiem kalectwem; zdarzało się nawet, iż żaden z 12 szermierzy nie uszedł, gdy byk, powalony na ziemię, wydarł się z rąk ich i jako zwyciężca opuścił szranki. Jest także zwyczaj, iż Toreador w beczce siedząc przyjmuje walkę. Kryje on się w niéj; byk tacza ją po ziemi, rzuca ją nawet w powietrze rogami, chcąc nieprzyjaciela z niéj wydobyć, lecz ten na znak od widzów dopiero dany, wyskakuje i zabija zwierza.

Niekiedy odbywają się te walki bez rozlewu krwi, a wtedy używają zapaśnicy drewnianych szpad i dzid bez żelaza, i bykom kładą na końce rogów kule z drzewa, aby razy ich nie tyle szkodziły; lec taki rodzaj walki wcale niepodoba się Hiszpanom. Uroczystość nie jest zupełną, jeśli krew nie płynie; jeśli nie legnie przynajmniéj 20 byków, nie zostanie w szrankach kilka koni, lub nie wyniosą z bitwy kilku zapaśników. Odbyte walki bywają długo treścią rozmów, zbiegających się na nie zdaleka mieszkańców, młodziency nawet pierwszych rodzin występują niekiedy w szranki, aby pokazać swą zręczność, i walczyć o pierwszeństwo z ulubionymi ludu szermierzami. Niedawno legł w takim boju syn znakomitego w państwie dygnitarza: obsypany oklaskami widzów, przebiegł już był drugi raz po grzbiecie byka, gdy ten nagle obrócił się i dopadłszy go, na sztuki rozerwał. W roku 1807 popisywało się, kilku wyższych officerów Francuzkich z siłą i zręcznością swoją na podobnych walkach, i pozyskało oklaski zgromadzonego ludu.

O bibliotekach w Polsce.

Wiadomo wszystkim, że wprowadzona do nas religia chrześciańska, rzuciła, podobnie jak w innych krajach, pierwsze nasiona (chrześciański j) oświaty. Podniecały ją ciągłe związki religi ne z stolicą Chrześciaństwa, i uczęszczanie na sobory kościelne duchowieństwa polskiego; i tą to drogą wpływały do benedyktyńskich, dominikańskich i cysterskich księgozbiorów, pierwsze z zagranicy sprowadzone rękopisma. Były to dzieła po większéj części duchownéj treści, rocznikami dziejów ojczystych i pobożnemi legendami, znacznie pomnożone. Lecz pierwsze te zakłady naukowe smutnego wkrótce doznały losu; albowiem domowe wojny, które z podziału Lechii po śmierci Bolesława Krzywoustego powstały, a tym bardziéj tatarskie pożogi, niszczyły te rychłe zawiązki naukowe, pospolicie w drewnianych tylko gmachach mieszczone. Dopiero Kazimierzowi W. i Władysławowi Jagielle zachowaném było podźwignąć podupadłe państwo, i błogie dla nauk rzucić nasiona. Założenie Akademii Krakowskiéj, stanowiące chlubną epokę w dziejach polskich, jest pod względem naukowym najważniejszym wypadkiem. Ztąd bowiem, jakoby z ogniska rozchodzić się zaczęły dobroczynne oświaty promienie, a naród otrząsał się z grubych średniego wieku przesądów.

Wszechmocna Opatrzność, która nieznajomą nam drogą, prowadzi rodzaj ludzki do coraz większéj doskonałości, zrządziła właśnie w tym czasie kilka, naukom wielce przyjaznych wynalazków. Wiadomo każdemu, jak mozolném, jak tamującém postęp ogólnéj oświaty, było przepisywanie rękopismów, kiedy tyle trudu, tyle nakładu potrzeba było do osiągnienia szczupłego naukowego zasobu. Do tego przyczyniała się kosztowność materyałów piśmiennych, a mianowicie pergaminowych, i to było przyczyną zaguby ważnych niekiedy dzieł starożytnych; skrobano albowiem dawniejsze greckie i łacińskie kodexy, a Wirgiliusze i Homery ustępować musiały placu brewiarzom i pobożnym legend on. Wynalazek więc papieru bawełnianego, a tym barDziéj wynalazek druku, jest w swych skutkach nieocenioném dobrodziejstwem.

Runął w tym wieku spróchniały tron wschodnich Cesarzów; barbarzyńskich bissurmanów tłumy, zajęły ten ostatni nauk przytułek, i płosząc ztamtąd szczękiem oręża przerażone muzy, przymusiły je nowego dla siebie szukać schronienia. Zaginęło w tem zaburzeniu i niepowetowanéj nauk zagładzie, mnóstwo klassycznych pisarzy, reszta gorliwością greckich uczonych zachowana od zatracenia, do Włoch się przeniosła, i doznawszy tu dzielnéj Medyceuszów opieki, z téj kolebki Europejskiéj oświaty, po innych zaczęła rozchodzić się krajach. Zawitali i do nas Cicero, Wirgiliusz, Horacy, Terencyusz, Seneka; ukazywał się, choć nieśmiało, Homer, Aristoteles, i na tych to prawdziwych wzorach klassycznych, zaczęto nabierać prawdziwego gustu do nauk.

Wszystkie te sprzyjające okoliczności, wielce się do wzrostu Krakowskiéj akademicznéj biblioteki przyłożyły, i jakkolwiek inne klasztorne księgozbiory dość były na swój czas zamożne, nigdy jednak iść nie mogły w porównanie z tym niejako centralnym zbiorem, przez kilka wieków

gorliwie pomnażanym. Tomasz Obiedziński, Benedykt z Koźmina, Broscyusz, Stanisław Reszka, Grzepski są to szanowne imiona, zapisane w rocznikach bibliotecznych w rzędzie najgorliwszych protektorów tego naukowego instytutu: nastał bowiem chwalebny zwyczaj, nabywać rzadkie kodexy, a przy zgonie przekazywać je Akademii. Liczny poczet dawców zamknął chlubnie Piotr Tomicki, biskup Krakowski i kanclerz Uniwersytetu, a sławna ta książnica przy końcu 16go wieku liczyła do 2000 powiększéj części rzadkich manuskryptów, kilka tysięcy inkunabuł, ogółem do 20000 dzieł najszacowniejszych; zaiste w owym czasie nieoceniony skarb, gdzie handel książkowy nie był tak jeszcze powszechny, gdzie pierwsze, zbyt kosztowne druki, nie małych nakładów wymagały.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Prezent.

(Powieść gminna.)

Nie dawne temu czasy, ani dalekie miejsce, w którém stał się wypadek dziwny, do uwierzenia trudny, przecież prawdziwy, bo pani Chorążyna, własném na wszystko patrzała okiem. A chociaż jéj usta oniemiały na wieki, prawią przecież usta osób innych, powtarzając powieść Chorążyny co do słowa; Relata refero.

W drewnianym dworku, z którego okien piękny jest widok na błyszczące w oddaleniu białe domki sąsiedniego miasta i na górę wybiegającą nad miasto — na której jednym szczycie stoi St. Marcina kościołek; na drugim podobne do łupin stłuczonego orzecha Tarnowskich zamku sterczą okruchy. Otoż w dworku tym drewnianym mieszkał Chorąży dziedzic wioski.

Błogosławieństwo Boskie spoczywało nad jego domem, wszystko pomyślnie mu się wiodło. Pomnożył się przychowek, szkatułka raz wraz ciężała. Mówiono o nim, iż wężyka miał w kieszeni; ile razy przypadło sięgnąć po grosz, syczał okropnie, i odstraszał rękę żądełkiem. Przecież był ludzkim i gościnnym w całém znaczeniu tego wyrazu, bo rzadki był wypadek, ażeby trzeźwy od niego odjeżdżał gość. — Miał żonę młodą i piękną. Aniela chowała się u babki, któréj była pieszczoszką, i nie było szybki w oknie, żeby wnuczka jéj nie miała, byle się naparła. Zostawszy Chorążyną, zdarzało się często, iż skromne jéj życzenia, i marzenia, rozbijały się, jakoby o twardą skałę, o upór oszczędnego męża.

Sąsiadki na przekorę pokazywały nieszczęśliwéj téj istocie, coraz to nowe robrony, kornety, mantele, chusty. Aniela dodzierała tylko ślubną swoją wyprawę. Lecz nigdy większego nie doznała frasunku, jak w ówczas, gdy się dowiedziała, iż najbliższą jéj przyjaciołkę związał mąż na urodziny sznureczkiem pereł uryańskich prześlicznéj wody.

Żałością przejęta, zapłakała z smutku i zazdrości. Sąsiadka bowiem ta, szczęśliwsza od niéj, była żoną dzierżawcy, trzymającego folwark od proboszcza Tuchowskiego. A ona dziedziczka, korale tylko nosiła na szyi. Ale żale i płacze nie przemogły Chorążego; skarcił żonę, że się zachciewa jéj zbytków w tych ciężkich czasach.

Biedna żona rzuciła zapłakaném oczkiém na ciężką szkatułkę i westchnęła. Ale dnia tego długo zasnąć niemogąc, dumała o wieczornym chłodzie.

Wkrótce potém przyszedł posłaniec z listem od Babki Anieliny, w którym staruszka wzywała wnuczkę, aby zjechała do niéj na święta.

Chorąży uradowany tém nie mało, chodził po izbie, i zacierał ręce; wiedząc o tém, iż babka kochana, stósownie do zwyczaju swojego, odsełając do domu wnuczkę, obdarzy ją znowu sumką jaką na szpilki. —

Odjechała Chorążyna: ani młokos czeka na przybycie kochanki z większą tęsknotą, jak Chorąży tą razą wyglądał powrotu żony.

Po upływie kilku tygodni, przyszła nareście wiadomość, że wraca.

Chorąży wychodził na przeciwko małżonki kilkakrotnie. Jednego wieczora nareście, wyszedłszy na wzgórze, dojrzał wznoszącą się kurzawę na gościńcu, poznał siwe konie, i koczyk. „Wraca, wraca“ zawołał, i zbiegłszy na drogę, czekał. Nadjechała żona.

„Stój“ krzyknął Chorąży — zatrzymała się kolasa, wysiadła żona, smutna jakaś i zapłakana rzuciła się w objęcia małżonka; który zadziwiony tym smutkiem, zapytał: „co się stało moje serce? powiedz.“

„„Nie gniewaj się na mnie — jam niewinna““ odpowiedziała zapłoniona. Dobyła chustki z woreczka, zakryła sobie oczy płaczące.

„Ale cóż się stało? powiedź,“ powtórzył Chorąży.

„„Skradli mnie, skradli, zabrali wszystko““ przemówiła żona.

Daremne byłoby staranie moje, opisać scenę, jaka nastąpiła po tém wyznaniu Chorążyny — iż na noclegu w karczmie skradziono jéj sakiewkę z dukatami, o której była wzmianka w liście babki do Chorążego pisanym.

Chorąży przyszedłszy do siebie; nie zaspał chwili, wysłał, i sam nareście poleciał na miejsce popełnionéj kradzieży.

Badano, szukano, ale bez skutku.

Miesiąc upłynął, jeszcze Chorąży żalu swego strawić nie zdołał, i nie było żadnéj w dniu jednym godziny, ażeby nie wyrzucał Anieli, iż płocha tyle, i nieostrożna — powtarzając swoje: „a mówiłem, miéj się na ostrożności, sto cz. zł. nie piechotą chodzi, stracić tak lekkomyślnie.“ Czas najlepszy na troski lekarz, przyniósł niejaką w tym frasunku ulgę. Chorąży zapominać się zdawał o doznanéj szkodzie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wyimki z Satyr Opalińskiego.

3. Na wyrodków swych familii.

(IV. 1.)

(Koniec.)

Co po tych herbach proszę, co po tych nagrobkach
I obrazach dziadowskich, które pokazujesz,
Szczycąc się przodków swoich genealogią? ....
Najprzód tedy, abyś był godzien urodzenia
Wysokiego onych dziadów, trzeba, żebyś cnotę
Miał w sobie, którą oni mieli, trzeba żebyś
I w życiu i w postępkach wszelkich był poczciwym....
Aleć do kogoż ja tę rzecz obracam? Do was
Wyrodkowie, którzy to siła więc trzymacie
O sobie i swych przodkach, w sobie nic nie mając
Godnego tychże przodków, cnoty i odwagi.
Na stronę ustąp, mówisz z ławki, albo nie wiesz,
Żem ja jest pan wielki, Wojewodzic przytém?
Ty nie wiesz zkądeś rodem, a chcesz mię podsiadać.
Ustąp, by cię nie zbito? Pozwalam Mość panie
Żeś wojewodzic, ale oraz pijanica,
Kostera i wszetecznik i srogie ladaco.
Nie tak po wojewodzku żyją. Znajdę ja tu
Poczciwszego miejskiego synka, niżeli ty —
Dosyć, żem wojewodzic. — Nie dosyć —
Nierozumne bestye z męstwa tylko mają
Swą pochwałę, i z rzadkich swych doskonałości.
Nie pytam się, czy polski, czy się w Turczech rodził,
Czy podunajski wałach, byle dobry, dzielny;
Mam go za kochanego sobie i drogiego.
A kiedy gnuśne szkapsko i szpetne, niech będzie
Z Arabii, przecię z nim do woza, ani mu
Pomoże urodzenie, choć z dalekich krajów.
Abyśmy tedy w tobie, co twego znaleźli,
Nie z ozdób twoich przodków, pokaż co wżdy umiesz.
Czyś do rady czy zwady, boju czy pokoju?
Czy tylko chcesz, abyśmy twoim się kłaniali
Tytułom, które dziadom twym służą nie tobie?
Milczysz, widzę, nadęty dumną presumpcyą,
Przy której mało kiedy rozsądek się znajdzie.
Herby nasze szlacheckie cnotą i odwagą
I dzielnością kupione: w jednych tam widzimy
Kopie, albo zbrojne ręki albo miecze,
W drugich podkowy, strzały, orły i lamparty:
Są to znaki dzielności, i sławy, odwagi;
Pewnie kufla nie znajdziesz, ani grackich kostek
Ni tuzá żołędnego, nie znajdziesz podwiki.
Acz siła takich u nas, którzyby się słusznie
Takimi mogli teraz herby pieczętować.
A ja tak konkluduję, że cię wolę z chłopa
Chłopem widzieć przy cnocie, niżeli Zborowskim
Bez Zborowskich postępków. Cnota czyni zacnym;
A też kto wie, zkąd idziem: kiedybyśmy mieli
Do Adama samego przodków naszych szperać
Od nas wspak poczynając: znaleźlibyśmy tam
Szewców, krawców, stelmachów i garbarzów, ba i
Co gorszego . . .

Przysłowia, piosnki gminne i t. p.

Sapi, jak jeż na jabłkach.
Nawarzył sobie sam piwa, i wypić nie może.
Zginiesz jak kamfora bez pieprzu.
Nie spadnie ci korona z głowy.
Postępuje żółwim krokiem.
Benedykt w pole z grochem, Wojciech z owsem jedzie,
Stanisław ze lnem, a Filip tatarkę wywiedzie.
Zależał pole (mówią o tym, co leni się pracy.)
Zacina Mazura, (mówią na szepleniącego-)
Deszczyk majowy i łzy panny młodéj nie długo trwałe.
Jako zasiałeś, tak będziesz żął.
Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

Pieśń panny chcącéj iść za mąż.

Nieszczęsna niedola, — za mąż zabraniają,
Jużem zaszła w lata, nic względu niemają.
Ja sama miarkuję,
Że ja się tém truję:
Że bez męża żyję,
A kiedyż utyję?
Moja pani matko! Bóg was ciężko skarze,
Że ja jeszcze dla was, z kim nie żyję w parze; —
Ja już wolą miała,
Matka mi nie dała!
Trafiali się różni,
Swoi i podróżni.
Moja pani matko, co wy to czynicie,
Czy tak na wędzonkę, chować mnie myślicie?
Mnie zakazujecie, —
Sami tańcujecie;
Mnie męża bronicie, —
A sami się gźicie.
„Oj moja córuniu, obyś statkowała!
„Żebyś na niedolę potem nie płakała:
„Ciężkie to kłopoty,
„Mieć z męża zgryzoty, —
„I urodę stracisz,
„I skórą przypłacisz!“
Nie wierzę ja temu, co wy powiadacie,
Wyście męża mieli, — całą skórę macie:
Ja mam w zdrowiu szkodę
I tracę urodę,
Coś natura czuje,
Twarzyczka się psuje.
Już mi się do prawdy panieństwo sprzykrzyło,
Już wolę iść za mąż, gdyby się trafiło; —
Pierwéj na mnie warli,
Ledwie mnie nie zżarli; —
Wolę Jasia mego,
Niż czekać inszego.
Oj mój Jasineczku, daj na zapowiedzi,
U mojéj matuli kaduk nie wysiedzi,
Byleś mnie wybawił,
Na słowo się stawił,
Bo mi przykre życie,
Tak się gryzę skrycie.
Oj nie będę nigdy Jasinka gniewała,
Czego on będzie chciał, i ja będę chciała:
Jeść mu ugotuję,
Oczki pocałuję,
Pościelę łożeczko,
Jak pieścidełeczko.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)